

ŁAS ZNA TWOJE IMIĘ

ALAITZ LECEAGA



ALBATROS

NIEWIDZIALNA NIĆ

Po raz pierwszy poczułam ogień, gdy miałam jedenaście lat. To było tego samego popołudnia, kiedy babcia Soledad skoczyła z klifu za naszym domem. Moja siostra Alma mogła rozmawiać ze zmarłymi, jeszcze zanim naszą babcię na zawsze wciągnęły zimne wody Morza Kantabryjskiego, ale ja musiałam czekać aż do tamtego popołudnia.

Alma i ja poszłyśmy do lasu naprzeciwko naszego domu, jak zawsze, kiedy po niekończącej się zimie dni znowu stawały się jasne i pogodne. Chociaż niemal na pamięć znałyśmy każdy stuletni dąb, każdy korzeń, który wystawał pomiędzy suchych liści, czy ślady zostawiane przez dziki na wilgotnej ziemi, to każdego popołudnia – po sjeście, do której zmuszała nas matka – Alma i ja wymykałyśmy się z domu i trzymając się za ręce, spacerowałyśmy po lesie aż do zapadnięcia zmroku.

– Leci ci krew, Estrello – powiedziała Alma, nawet na mnie nie spoglądając.

Tej nocy, której się urodziłam, kometa przecinała niebo, zostawiając za sobą ślady ognia, lodu i zniszczonych gwiazd. I właśnie takie imię wybrała dla mnie matka: Estrella, Gwiazda.

– Uważaj – dodała Alma. – Jeśli poplamisz sobie sukienkę, mama znowu będzie na ciebie krzyczeć. Wiesz przecież, że ona i Carmen nie lubią, gdy bawimy się w lesie. Uważają, że to nie przystoi panienkom.

– Mylisz się, to z powodu wilków. Mama i Carmen boją się, że zjedzą nas żywcem i później one znajdą w gąszczu tylko nasze podarte na strzępy ubrania i buty, wszystko we krwi – odpowiedziałam, starając się ją nastraszyć.

– Tak, właśnie to spotkało córkę nauczycielki z miasteczka. Biedaczka, nawet nie mogli jej pochować jak należy, tak mało zostało tego, czego nie zjadły wilki. To przykre – powiedziała Alma tonem, który wcale nie zabrzmiał współczująco.

Podobnie jak wszyscy w Basondo, wiele razy słyszałam tę historię, jednak teraz na myśl o rozerwanej na kawałki córce nauczycielki dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Wciąż leci ci krew – dodała łagodnie Alma.

Spojrzałam na swoją prawą rękę i zobaczyłam rozcięcie na palcu wskazującym: nieregularna rana, która ciągnęła się aż do paznokcia.

– To nic takiego, tylko zadrapałam się o gałąź – odparłam niechętnie.

Popołudniowe słońce ledwie do nas docierało, usiłując przeдрzeć się przez najwyższe gałęzie lasu, splecione ze sobą niczym roślinna kopuła, więc natychmiast zauważyłam krew wypływającą z rany i ciekącą po ręce, błyszczącą, czerwoną i tak gorącą, że poczułam, jak pod skórą tworzy się niewidzialny ślad po oparzeniu. Nigdy wcześniej nie bałam się widoku krwi, ale w tym momencie wydała mi się czymś strasznym, niemal nieznośnym. Żołądek skurczył mi się z obrzydzenia i potrząsnęłam ręką, próbując uwolnić się od tej ognistej czerwonej nici, która znajdowała się pod skórą. Kilka kropeł spadło na ziemię, ale większość pobrudziła dolną część mojej niebieskiej sukienki.

– Mówiłam, żebyś uważała – powiedziała Alma, omijając pień ogromnej sosny i idąc dalej. – I przestań już się tak zachowywać, dąsasz się, odkąd wyszliśmy z domu. Nudzę się. Wcale nie jesteś zabawna, kiedy się obrażasz, Estrello.

– Nie jestem obrażona – wymamrotałam. – Tylko czasami robisz się nieznośna.

– Nieznośna? Ale przecież ja jestem Świętą Almą – odpowiedziała z przejęciem.

Rzekoma „świętość” mojej siostry była w Basondo tajemnicą poliszynela. Niektórzy mieszkańcy wierzyli, że Alma jest kimś w rodzaju wybranki, zdolnej do kontaktowania się z ich bliskimi, którzy odeszli już na tamten świat.

– Mama się nie dowie, że byliśmy w lesie, jeśli ty jej o tym nie powiesz – odparłam, patrząc na zdradzieckie kropelki krwi, które plamiły ubranie. – Dam sukienkę Carmen, żeby ją uprała. Ona na pewno dochowa tajemnicy, nie tak jak ty.

Alma odwróciła się, by na mnie spojrzeć. Jej bursztynowe oczy zawsze wydawały się bardziej błyszczące, kiedy byliśmy w naszym lesie.

– Ja też dochowam tajemnicy, głuptasko.

Moja siostra miała w zwyczaju spędzać długie godziny w swoim własnym świecie, ze wzrokiem utkwionym w jakimś pustym kącie domu. Nie przywiązywałam do tego wagi, ponieważ Alma była moją siostrą bliźniaczką i zawsze wiedziałam, o czym myśli, zawsze, z wyjątkiem momentów, gdy przybierała ten upiorny wyraz twarzy. Miałyśmy sześć lat, kiedy wyznała mi, że widzi osoby, „które już nie istnieją”, mieszkające w naszym domu. Duchy. Powiedziała mi, że niektóre przemawiają albo płaczą cicho w pustych pokojach i długich korytarzach Willi Soledad.

– Widziałas ostatnio jakieś widmo? – zapytałam ją, udając, że nie jestem zbyt zainteresowana odpowiedzią.

Alma ominęła poskręcany korzeń, który wystawał z ziemi. Gdy przyszłyśmy tutaj pierwszy raz, przewróciła się na usłaną suchymi liśćmi ziemię, bo nogi zaplątały jej się w ten właśnie korzeń. Rozciągała sobie czoło, ale mamie powiedziała, że to ja ją popchnęłam, kiedy bawiłyśmy się w bocznym ogrodzie Willi Soledad. Z jej winy zostałam ukarana na dwa tygodnie.

– Zapewniam cię, że rozmawianie ze zmarłymi nie jest czymś tak dobrym, jak się wydaje – odpowiedziała, gdy zbliżyłyśmy się do naszej sekretnej polany. – Carmen mówi, że ciągle przebywanie w

towarzystwie zmarłych to zły znak, a mama... no cóż, mama nie pozwalała, bym rozmawiała z nią o duchach, mam więc tylko ciebie.

Odsunęłam z twarzy kosmyk czarnych włosów. Mimo że powietrze w lesie było chłodne, wskutek marszu spościłam się i mokre włosy przylepiały mi się do czoła.

– W każdym razie wszystko mi jedno, zapomnij, że w ogóle cię o to pytałam – odparłam z pogardą. – Poza tym nawet nie wierzę, że naprawdę możesz je widzieć. Jesteś tylko kłamczuchą, która lubi udawać, że jest wyjątkowa, by oszukiwać ludzi.

Byłam zazdrosna o wszystko, co Alma mogła robić, a ja nie. A ona bardzo się starała, żeby tak właśnie było. Jednakże w nocy, w sypialni, którą dzieliłyśmy, czasem słyszałam, jak szepcze, kiedy myślała, że już śpię. Prowadziła długie i tajemnicze rozmowy z osobami, których nie było w naszym pokoju, albo cicho się śmiała. Czasem płakała w poduszkę, zależnie od ducha, który odwiedził nas danej nocy.

– Nie bądź zazdrosna, Estrello.

– Wcale nie jestem zazdrosna, daj spokój – skłamałam. – Możesz oszukiwać innych, udając, że jesteś wyjątkowa albo że potrafisz rozmawiać ze zmarłymi, ale jestem twoją siostrą i wiem bardzo dobrze, jaka jesteś w rzeczywistości: taka sama jak ja.

Alma musnęła bluszcz, który oplatał pień ostatniego dębu. Małe dzikie kwiatki w niebieskim kolorze rosły zaplątane w bluszcz niczym perłowy naszyjnik.

– Owszem, jesteśmy bliźniaczkami, ale nie jesteśmy takie same. Ty masz oczy w różnych kolorach: jedno zielone, drugie bursztynowe – przypomniła mi. – A moje oba są bursztynowe.

– To tylko szczegóły, nic więcej. Jesteśmy takie same pod każdym liczącym się względem.

Byłyśmy już blisko polany. Wiedziałam to, ponieważ rozpoznałam skręcone buki, które minęłyśmy, i paprocie o wielkich i błyszczących liściach. Z miejsca, w którym się znajdowałyśmy, mogłam już usłyszeć płynący szybko strumyk. Po minięciu czterech sosen, tak wysokich jak wieże obserwacyjne, które wznosiły się, tworząc niemal linię prostą, zobaczyłam łąkę z dzikimi kwiatami i wysokimi trawami.

Docierało tu światło słoneczne, w takim samym błyszczącym złotym kolorze jak oczy Almy, a powietrze pachniało świeżymi kwiatami i nigdy niekoszoną trawą. Nasiona mniszka lekarskiego unosiły się między promieniami popołudniowego słońca i znikwały w ciemnym lesie po drugiej stronie strumienia.

– Skoro tak się boisz zmarłych, to dlaczego nie opowiesz o tym ojcu Dávili? Może dzięki kilku zdrowaśkom i paru litaniiom wyleczysz się i przestaniesz widzieć duchy – powiedziałam do niej niegrzecznie.

– Wyznać to wszystko? Nikt by mi nie uwierzył. Albo jeszcze gorzej: uwierzyliby i spalili mnie na stosie jak czarownicę – poskarżyła się Alma, siadając nad brzegiem strumienia ze skrzyżowanymi nogami. – Nie, nikomu nie mogę o tym powiedzieć.

Zakryła twarz dłońmi, jakby szlochała, chociaż wiedziałam, że udaje.

– Mamy tysiąc dziewięćset dwudziesty siódmy rok, Almo, już nikogo nie palą za czary – zapewniłam ją. – Poza tym Carmen opowiadała mi kiedyś, że palono tylko biedne kobiety, a ty i ja jesteśmy właściwie markizami. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się oskarżyć nas o czary, a tym bardziej spalić na głównym placu w miasteczku.

Zaśmiałam się na samą myśl o tym, ale Alma zapytała zaniepokojona:

– Co cię tak śmieszy? Zapomniałaś już historię Joanny d’Arc, którą opowiedziała nam panna Lewis? Później tygodniami męczyły mnie koszmarne sny o tym, że ginę w płomieniach.

Mnie też śnił się ogień, lecz w przeciwieństwie do Joanny d’Arc czy mojej siostry, ogień pojawiający się w moich snach znajdował się we mnie i trząsał pod moją skórą.

– Nikt cię nie spali, Almo – rzuciłam, siadając obok niej na ziemi. – Uważa się, że ty jesteś tą dobrą, więc jeśli któraś z nas ma zginąć w płomieniach, to raczej ja.

Alma uśmiechnęła się i wyglądała na dziwnie uspokojoną moim stwierdzeniem. Wtedy zdałam sobie sprawę, że ona, tak jak wszyscy, również uważała, że jestem tą niepotrzebną siostrą.

– Czytałam kiedyś, że gdy umiera bliźniak, to ten drugi przez resztę życia czuje się tak, jakby brakowało mu ręki, nogi albo oka – powiedziałam. – Wyobrażasz to sobie? Żyć tak, jakby brakowało ci jakiejś części ciała? A ja nie chcę czuć czegoś takiego tylko dlatego, że wpadłaś na głupi pomysł, by powiedzieć księdzu, że widzisz zmarłych.

– To był twój pomysł – przypomniała mi Alma, zrywając dziki niebieski kwiat, który rósł tuż obok jej butów z lakierowanej skóry. Następnie położyła go na dłoni. – Więc jeśli mnie zabiją, to będzie twoja wina.

Po moich plecach przebiegł dreszcz, ale nie miał on nic wspólnego z chłodem wydobywającym się z wilgotnej ziemi pode mną. Nie. W słowach Almy było coś mrocznego: przecucie, złowróżbna obietnica. „Jeśli mnie zabiją, to będzie twoja wina”. Popatrzyłam uważnie na niebieski kwiat leżący na jej dłoni i przez chwilę wydawało mi się, że roślina zaczyna się ruszać. Na początku myślałam, że to z powodu północnego wiatru, który przemierzył las, by nas odnaleźć. Tego lodowatego wiatru, który wiał znad morza nad klifem i wciskał się przez okna naszego pokoju w noc, kiedy odwiedzali nas zmarli. Ale teraz to nie był wiatr. Poczułam mrowienie pod skórą, gorąco powstające w klatce piersiowej i szybko rozprzestrzeniające się po żyłach niczym ciepła trucizna. Wtedy kwiatek zaczął się obracać wokół łóżki z taką samą finezją, z jaką tancerka obraca się na pozytywce.

– Ty to robisz, Almo? – zapytałam ją, czując suchość w ustach. – To ty?

Alma już była wyjątkowa, więc nie wydawało mi się sprawiedliwe, by posiadała także moc poruszania kwiatem.

– Nie. Myślę, że to ty, Estrello – wyszeptała, patrząc na kwiat tańczący na jej dłoni.

Teraz obracał się szybciej, unosząc się w popołudniowym powietrzu kilka centymetrów nad dłonią Almy.

– Nie wierzę. To ty. Robisz to, żeby ze mnie kpić. Przestań natychmiast! – krzyknęłam, a kwiat zawirował jeszcze szybciej. – Przestań, mówię!

Im bardziej się złościłam, tym szybciej kwiat się obracał. Znowu poczułam gorące mrowienie pod skórą, niczym wyładowanie elektryczne, które dotarło do mojej dłoni, podobnie jak soczewka skupiająca promienie słońca w jednym punkcie.

- To ty. Robisz magię, Estrello.
- To nie ja, to ogień.



Czekałam jedenaście długich lat, podczas gdy Alma, ze swoimi niesamowitymi bursztynowymi oczami, rozmawiała ze zmarłymi albo przekazywała wiadomości z zaświatów żywym. Ci płakali wzruszeni i ściskali ją, słuchając słów swoich bliskich, których nie było już wśród nich. Aż do tego popołudnia.

Wyszliśmy z naszego lasu i wracaliśmy do domu najdłuższą drogą, tą, która wiła się wzdłuż klifu po drugiej stronie szosy.

– Nie przejmuj się tak. Jeśli ten ogień, który rzekomo czujesz, jest prawdziwy, na pewno będziesz mogła to powtórzyć – powiedziała do mnie Alma, przekrzykując huk fal.

Ukradkiem spojrzałam na rękę, spodziewając się, że zobaczę bliznę po oparzeniu albo pękniętą skórę, ale moim oczom ukazało się jedynie rozcięcie, które zrobiłam sobie w drodze na polanę, nic więcej, ani śladu ran czy pęcherzy. A mimo to nadal czułam ogień pod skórą, we mnie, przypominający tkwiące głęboko ciepło wydzielane przez rozżarzone węgle nawet po tym, jak zostały ugaszone... wspomnienie ognia.

– Nie masz pojęcia, jak działa ogień, więc przestań już gadać, jakbyś była wszechwiedząca – zwróciłam się do niej, chociaż ja też nie miałam pojęcia. – Na wypadek gdybyś zapomniała, to ja jestem starszą siostrą.

- Tylko o dwie minuty – wymamrotała Alma, krzywiąc się.
- Dwie minuty wystarczy, pogódź się z tym.

Spodziewałam się, że Alma nadal będzie się spierać, ale wtedy wyraz jej twarzy się zmienił. Zamilkła i jak sparaliżowana patrzyła

na metalową rampę wystającą z klifu. Wykorzystywano ją do przenoszenia rudy żelaza z naszej kopalni na statki, które nie mogły odpłynąć do skalistej ściany.

– Tam jest babcia Soledad – odezwała się nagle Alma.

Rozejrzałam się, obawiając się, że nasza babcia wyszła na spacer wzdłuż klifu i widzi, jak wychodziłyśmy z lasu, gdzie nie wolno nam było się bawić.

– Co ty mówisz? Gdzie?

– O tam – odparła Alma. – Stoi na pomoście, przy samym brzegu, jakby chciała skoczyć do morza. Ty jej nie widzisz?

Pomost znajdował się kilka kroków przed nami, ale nie było tam nikogo.

– Babci Soledad tam nie ma, idiotko. O tej porze pije w szklarni swoje amaretto sour, jak zawsze przed kolacją.

Jednakże Alma wpatrywała się swymi kocimi oczami w pomost, patrzyła na coś niewidzialnego dla mnie i starała się powstrzymać łzy.

– Widzę ją tak wyraźnie, jak widzę ciebie – powiedziała Alma słabym głosem, kiedy zaczęła rozumieć, co to oznacza. – Jej srebrne włosy są mokre i teraz wydają się dłuższe, niż były rano, sięgają jej niżej niż do pasa. Teraz na mnie patrzy, ma na sobie naszyjniki z perłami i jedną z tych swoich długich sukienek z meksykańskiego jedwabiu, tę w kolorze krwistej czerwieni. Naprawdę jej nie widzisz, Estrello?

Wściekła, podeszłam zdecydowanym krokiem na skraj przepaści, chociaż czułam, jak drżą mi nogi i ściska się żołądek, gdy stanęłam tak blisko urwiska. Zapach saletry był tutaj bardzo intensywny i dostawał się do nosa z każdym wdechem, jak wtedy, kiedy fala zwała człowieka z nóg.

– Kłamiesz, jesteś tylko zwykłą kłamczuchą, która mi zazdrości, bo sama nie czuje ognia.

– Nie kłamię. Babcia Soledad stoi tam, na pomoście, dokładnie przed tobą. Teraz coś mówi. – Alma zamilkła na chwilę, jakby słuchała. – Mówi, że była już zmęczona życiem z dala od swojej ukochanej ziemi, zmęczona życiem tutaj, gdzie dziadek sprowadził ją siłą, gdy

była młodą dziewczyną, i zmusił do mieszkania tu przez te wszystkie lata. Nie zniosłaby tego dłużej.

Miałam tylko jedenaście lat, ale dobrze wiedziałam, co to oznaczało: nasza babcia nie żyła.

– Babcia mówi, że bardzo jej przykro – ciągnęła Alma, nie będąc już w stanie powstrzymać łez. – Żałuje, że zostawia nas same, ale chce wrócić do swojego domu, do swojej ziemi. Wiedziała, że jeśli jako staruszka umrze tutaj, w Basondo, tata każe pochować ją na naszym cmentarzu jako Zuloagę i wtedy już nigdy nie będzie mogła wrócić do swojego prawdziwego domu.

– To jest jej dom. Zamknij się! – krzyknęłam. – Babcia Soledad jest w domu i dobrze jej tam. Nie mam zamiaru dłużej cię słuchać.

– Babcia chce, żebyś wiedziała, że zostawiła ci naszyjnik ze szmaragdem, ten, który tak ci się podoba i który zawsze chciałaś mieć. Wie, że przymierzasz go po kryjomu, kiedy jej nie ma, i że przeglądasz się w lustrze jej toaletki, żeby się przekonać, czy pasuje do twojego zielonego oka. Zostawiła ci go na twojej poduszce, teraz należy do ciebie – dodała Alma, szlochając, po czym w milczeniu potrząsnęła głową, jakby słuchała czegoś strasznego. – Nie...

– Co się dzieje? Co jeszcze mówi babcia? – zapytałam, czując słony smak łez, które utknęły mi w gardle.

Alma zamrugła dwa razy, a później spuściła wzrok. Nie musiałam pytać, by wiedzieć, że babcia Soledad odeszła.

– Jedna z nas dołączy do niej, zanim skończy piętnaście lat – odparła Alma takim tonem jak ktoś, kto wypowiada przekleństwo w baśni. – Jedna z nas umrze.

Odsunęłam się od przepaści i podeszłam do siostry.

– Powiedziała ci, która? – zapytałam, obawiając się każdej z możliwych odpowiedzi.

Alma zwlekała chwilę, zanim odparła:

– Nie. Nie powiedziała.

Wiedziałam, że kłamie, wiedziałam to, gdy tylko zobaczyłam jej oczy tonące we łzach. Zaczęłam biec przez wysokie trawy w stronę domu, przemierzyłam frontowy ogród, weszłam do budynku i bez

zatrzymywania przecięłam hol. Płuca mi płonęły, kiedy wchodziłam po schodach do naszego pokoju na ostatnim piętrze, ale musiałam to zobaczyć na własne oczy, żeby mieć pewność. Gdy wreszcie podeszłam do swojego łóżka, on tam leżał, na poduszce, dokładnie w tym miejscu, o którym mówiła Alma: naszyjnik ze szmaragdem, który babcia Soledad mi zostawiła, zanim skoczyła do morza.

I w ten sposób odkryłam, że moja siostra Alma potrafiła rozmawiać ze zmarłymi.



– Stój spokojnie, Estrello, bo nie dam rady zapiąć ci guzików. I tak jest trudno, nie musisz mi tego dodatkowo komplikować – powiedziała Carmen, walcząc z rzędem guzików na plecach mojej czarnej sukienki. – Zachowujesz się, jakby siedział w tobie diabeł, dziewczyno.

Skrzywiłam się, korzystając z tego, że Carmen nie widziała mojej twarzy, ale przestałam się kręcić, uwięziona w niewygodnej sukience z surowego jedwabiu i organzy, żeby mogła skończyć. Szykowała nas na pogrzeb babci Soledad.

– Nie podoba mi się ta sukienka, mam wiele innych, znacznie ładniejszych niż ta. Dlaczego nie mogę włożyć którejś z nich? – pytałam.

Carmen założyła za ucho krótki kosmyk swoich kasztanowych włosów i westchnęła. Tego popołudnia pytałam ją o to nie pierwszy raz.

– Bo tę uszyto dla ciebie specjalnie na pogrzeb pani markizy, twojej babci – tłumaczyła cierpliwie Carmen. – Na uroczystości pojawiają się wszystkie ważne osoby. Goście będą się z tobą witać i składać kondolencje, dlatego ty i twoja siostra musicie bardzo ładnie wyglądać. Popatrz, jaka piękna i elegancka jest Alma, i nie mów mi, że nie prezentuje się gustownie w tej jedwabnej sukience i butach z lakierowanej skóry. Prawie jak laleczka z porcelany.

Spojrzałam na Almę, która siedziała na krawędzi swojego łóż-

ka ze zwieszonymi nogami. Była już gotowa. Carmen ubrała ją najpierw, ponieważ wiedziała, że później będzie siedzieć spokojnie, zamiast pójść do ogrodu i pobrudzić się, co ja miałam zamiar zrobić.

– Tak, jak laleczka – przyznałam niechętnie. – Zrobisz mi taką koronę z warkoczy jak jej?

Czarne, błyszczące włosy Almy były splecione w warkocz, a te owinięte wokół głowy.

– Pewnie, że ci zrobię, ale musisz siedzieć bardzo spokojnie – powiedziała Carmen, kiedy wreszcie udało jej się zapiąć ostatni z obciążonych jedwabiem guzików na moich plecach. – Pewnego dnia ty i Alma zostaniecie markizami de Zuloaga. Musicie się przyzwyczajać do tego, że koncentrują się na was wszystkie spojrzenia. Powinnyście nauczyć się zachowywać jak eleganckie panienki, a nie jak dzikie zwierzęta z lasu, rozumiemy się?

Ja znowu się skrzywiłam, ale Alma słodko się do niej uśmiechnęła.

– Panna Lewis mówi, że pewnego dnia obie będziemy *wonderful ladies*. Ty też tak uważasz, Carmen? – zapytała Alma, jakby nagle bardzo przejęła się tą sprawą. – Myślisz, że będziemy tak dobrymi markizami jak babcia Soledad?

– Oczywiście, że tak, dziecko, a nawet lepszymi. Wasza babcia była dobrą kobietą, piękną i z klasą, jakiej nie da się kupić za pieniądze, ale biedaczka nigdy nie była tutaj szczęśliwa. – Ciemne oczy Carmen znowu posmutniały, gdy wspomniała o naszej babci, ale nie rozumiałam dlaczego. – Mam nadzieję, że teraz pani markiza jest w miejscu, w którym wreszcie czuje się jak w domu.

Przez dłuższą chwilę żadna z nas się nie odzywała, jakbyśmy się obawiały, że babcia Soledad siedzi jeszcze w pokoju, przysłuchując się naszej rozmowie.

– Teraz jest w swoim domu, w tym prawdziwym. Jest mi smutno, ale cieszę się też, że babcia w końcu jest u siebie – powiedziała Alma z udawaną łagodnością. – Teraz wreszcie jest na swojej ziemi.

– Nie smuć się z powodu babci, kochanie. Pani markiza nie chciałyby, żebyś była przygnębiona, nawet dzisiaj. – Carmen zosta-

wiła mnie, by podejść i pocieszyć Alnę, która ze spuszczoną głową siedziała na krawędzi łóżka. – Zobaczysz, że za jakiś czas poczujesz się lepiej. Babcia dobrze was znała i bardzo kochała, dodawałyście jej otuchy w ostatnich latach.

– I tak będę bardzo za nią tęsknić – poskarżyła się Alma.

Carmen westchnęła i odsunęła się od niej, żeby wrócić do toaletki i dokończyć szykowanie mnie na uroczystość pogrzebową.

– Bez względu na wszystko trzymaj fason, dziecko – powiedziała jej. – Bo jeśli pozostali wyczują, że jesteś słaba, od razu zjedzą cię żywcem.

Alma milczała, ale w jej odbiciu w lustrze zobaczyłam, że wcale nie spodobało jej się, że Carmen do mnie wróciła.

We trzy znajdowałyśmy się w sypialni, w naszej małej wieży nad Morzem Kantabryjskim. To był jedyny pokój znajdujący się tutaj, wysoko, oddzielony od wszystkich pomieszczeń domu spiralnymi schodami, które ciągnęły się od pierwszego piętra.

– Carmen, a czy kiedy Alma i ja zostaniemy markizami, to będziemy mogły robić wszystko, na co przyjdzie nam ochota, tak jak ojciec? – zapytałam naszą nianię.

Uśmiechnęła się do mnie smutno, po czym podała mi rękę, pomagając zejść ze stołka, na którym stałam.

– My, kobiety, prawie nigdy nie robimy tego, na co przyjdzie nam ochota, nawet markizy. To jest zarezerwowane tylko dla mężczyzn – odparła z rezygnacją. – A teraz usiądź przy toalecie i nie ruszaj się przez chwilę, żebym mogła cię uczesać tak samo jak twoją siostrę. Ojciec niedługo przyjdzie, żeby zabrać was na pogrzeb, i nie spodoba mu się, że nie jesteście jeszcze gotowe.

– Jasne, on nie musi się przejmować zapinaniem tych wszystkich guzików... – Dotknęłam pleców swojej sukienki. – Co za koszmar...

– Przecież nawet sama ich nie zapinałaś, dziecko – przypomniała mi Carmen.

Siedząca na łóżku Alma zaśmiała się, a ja spiorunowałam ją wzrokiem w lustrze toaletki.

– Ta sukienka mi się nie podoba, jest ciężka i uciska mnie, jak oddycham – upierałam się. – Na pewno ta idiotka krawcowa znowu pomyliła rozmiary. Albo ty się pomyliłaś i dałaś mi sukienkę Almy, a ona jest ode mnie chudsza.

Carmen wzięła srebrną szczotkę z toaletki i kilka razy przeciągnęła nią po moich długich czarnych włosach.

– Nie pomyliłam się – odparła, nie patrząc na mnie. – A jeślibym tak zrobiła, to i tak wszystko jedno, bo ty i Alma jesteście identyczne, więc nie bądź taka przewrażliwiona, dziecko.

– Nie jesteśmy takie same – zaprotestowałam, ale później spojrzałam na swoją młodszą siostrę, gdy Carmen kończyła rozczesywać mi włosy. Było tak, jakbym widziała w lustrze własne podwójne odbicie. – Ja mam każde oko w innym kolorze.

Zauważyłam, że Carmen kręci głowę, dzieląc połowę moich włosów na trzy części, żeby zapleść warkocz.

– Możliwe, że sukienka uciska cię przy oddychaniu, bo niedługo przestaniesz być dziewczynką i staniesz się młodą damą – zasugerowała.

Nie zrozumiałam zbyt dobrze, co chciała powiedzieć, ale na wszelki wypadek spuściłam głowę, obawiając się, że podczas gdy ona zapinała mi guziki sukienki, nagle urosły mi piersi.

– Nie wiem, o czym mówisz – wymamrotałam, czując wstyd, ale nie wiedząc właściwie z jakiego powodu.

– A ja i owszem. To znaczy, że za rok albo za dwa lata dojrzejemy i przestaniemy być dziewczynkami, prawda, Carmen? Prawda, że to właśnie chciałaś powiedzieć? – zapytała Alma z delikatnym uśmiechem satysfakcji na różowych ustach. – Panna Lewis mówiła mi trochę o tej sprawie i pozwoliła nawet obejrzeć obrzydliwą książkę, w której jest pokazane, jak w środku wygląda ciało kobiety. Ale panna Lewis powiedziała też, że panienka nigdy o tym nie rozmawia. To jest sekret.

– Wielki mi sekret, dziecko! Widać, że panna Lewis jest cudzoziemką i pochodzi z dobrej rodziny. Jeszcze mi powiesz, że poród też jest sekretem.

Chociaż Carmen Barrio miała zaledwie trzydzieści lat, zajmowała się nami, odkąd pamiętam, a nawet wcześniej. Jednym z moich pierwszych wspomnień jest niania siedząca na podłodze w tym samym pokoju i grająca z nami w „gęś”, podczas gdy na zewnątrz Morze Kantabryjskie buntuje się podczas sztormu i odrywa stary żelazny pomost, który potem zwisał z klifu niczym liść w środku burzy. Później się dowiedziałyśmy, że wystarczyły cztery miesiące i dwie grupy mężczyzn pracujących na zmiany bez odpoczynku, żeby zepsutą rampę zastąpić nową.

– Ładnie wyglądam? Wydaję się starsza? – zapytałam Carmen, próbując przeglądać się w lustrze i nie pomylić siebie z Almą.

– Wyglądasz bardzo ładnie, dziecko. Tak samo jak twoja siostra – odpowiedziała z rezygnacją. – I nie spiesz się tak bardzo do tego, by dorosnąć. To nie jest takie wspaniałe, jak mówią.

Carmen miała ciemną karnację i zaróżowione policzki, jakby zawsze była zgrzana. Była młodą kobietą (nawet dla takiej dziewczynki jak ja, która wszystkie osoby powyżej dwudziestego roku życia uważała za stare), ale jednocześnie wyglądała już na zmęczoną, pokonaną przez życie. Oczy miała ciemne, a spojrzenie ciepłe i łagodne, chociaż często można było odnieść wrażenie, że błądzi ono gdzieś daleko od tego domu i od Basondo – jak u kogoś, kto wygląda przez okno, starając się dojrzeć pejzaż za horyzontem. Carmen czasami płakała. Pewnego popołudnia, jakieś siedem lat wcześniej, Alma i ja zobaczyłyśmy ją płaczącą w jej pokoju w piwnicy. Siedziała oparta plecami o ścianę, obejmując kolana. To było kilka miesięcy przed narodzinami jej córki Cataliny.

– Dlaczego babcia Soledad się zabiła? – zapytała Alma, wciąż siedząc na łóżku. – Czy to z naszej winy? Nie była z nas zadowolona?

Dwa dni wcześniej mama powiedziała nam, że babcia Soledad spacerowała w pobliżu klifu i przez przypadek wpadła do morza.

– Nic z tych rzeczy. A kto ci powiedział, że markiza się zabiła? – zapytała Carmen, puszcżając moje włosy, i spojrzała na nią zaskoczona. – Markiz?

Alma pokręciła głową i powoli wstała z łóżka, uważając, by nie pognieść czarnej sukienki.

– Nie, to babcia mi powiedziała – odparła, kiedy podeszła do toaletki. – Tego popołudnia, gdy zmarła, widziałyśmy ją na pomoście, prawda, Estrello?

Miałam zapleciony tylko jeden warkocz, ale niechętnie skinęłam głową.

– Tak.

– Tak naprawdę to tylko ja ją widziałam, bo oczywiście Estrella nie potrafi widzieć zmarłych – poprawiła się Alma, trzymając oparcie krzesła, na którym siedziałam. – Babcia powiedziała, że była zmęczona życiem tutaj, z dala od swojej kochanej ziemi, z której dziadek ją zabrał, gdy była jeszcze młodą dziewczyną. Co to znaczy, Carmen? Była smutna i już nas nie kochała? Dlatego się zabiła?

Obie popatrzyłyśmy na Carmen, czekając na odpowiedź. Była jedyną dorosłą w tym domu – i z pewnością w całej dolinie Basondo – która traktowała nas jak osoby, a nie jak uciążliwe laleczki z porcelany. Oparła ręce na biodrach i spojrzała na łukowy sufit pokoju, zastanawiając się nad odpowiedzią, którą potrafiłybyśmy zrozumieć, a która zarazem nie byłaby kłamstwem.

– To znaczy, że wasza babcia też nie mogła robić tego, na co przysłała jej ochota, mimo że była panią markizą de Zuloaga, i w końcu się zmęczyła – odpowiedziała wreszcie Carmen. – Nie mówcie o tym nikomu, zgoda? Markiz bardzo by się zezłościł, gdyby ludzie w miasteczku się dowiedzieli, że wasza babcia umyślnie zeskoczyła z pomostu. To byłaby wielka hańba dla niej i dla rodziny. Rozumiecie?

– Nie powiem – obiecałam, krzyżując palce na dolnej części sukienki, żeby Carmen nie zobaczyła.

Miałyśmy zakaz bawienia się na pomoście i zbliżania do klifu, ale w niektóre popołudnia, kiedy Carmen uczyła czytać swoją córkę Catalinę, razem z Alną wymykałyśmy się, by podejść do przepaści znajdującej się pół kilometra poniżej domu. Rywalizowałyśmy, by się przekonać, która z nas odważy się stanąć bliżej krawędzi klifu, zanim się cofnie. Zamykałyśmy oczy i liczyłyśmy na głos, przekrzy-

kując huk oszalałych fal, które poniżej uderzały o skalną ścianę. To była jedna z moich ulubionych gier, bo zawsze wygrywałam. Pewnego razu jednak tak bardzo zbliżyłam się do krawędzi, że mało brakowało, a bym spadła, przez odrażającą mewę, która skrzecząc, przeleciała bardzo blisko mnie. Poślizgnęłam się na trawie, która rosła tuż przy krawędzi, i straciłam jedną z balerinek (specjalnie dla nas wykonanych ręcznie i dostarczonych z Madrytu). Kiedy przestraszona otworzyłam oczy, zobaczyłam, jak but spada w pustkę i tonie w morzu. Do domu wracałam z ubrudzoną błotem stopą, ze szczękającymi z zimna zębami i wciąż jeszcze trzęsąc się ze strachu.

– Co babcia miała na myśli, mówiąc, że to nie był jej dom? – dopypywałam, podczas gdy Carmen po raz trzeci zaczynała zaplatać mi warkocz. – Przecież to był jej dom. Nazywa się tak jak ona: Willa Soledad. Dziadek Martín nazwał go tak na cześć babci, bo bardzo ją kochał, prawda?

Historia miłości dziadka Martina i babci Soledad była typowa. To niemal rodzinna legenda, którą Alma i ja słyszałyśmy od wszystkich. Od wszystkich z wyjątkiem babci: ona nigdy o tym nie opowiadała, nawet po śmierci dziadka, nie wspominała o swoim ślubie, nie mówiła o tym, jak się poznali ani jak wyglądało jej życie w Meksyku przed pojawieniem się dziadka.

– Carmen?

Gdy Carmen wyciągnęła wolną rękę, żeby wziąć spinki z toaletki, jej dłoń lekko zadrżała.

– Wasz dziadek Martín poznał panią Soledad w małym miasteczku w Meksyku, dokąd wyemigrował, żeby się wzbogacić. Markizem był od urodzenia, ale jego ojciec stracił całą rodzinną fortunę w wyniku złej inwestycji, więc waszemu dziadkowi nie pozostało nic innego jak wyjechać do Ameryki – opowiadała Carmen, unikając podnoszenia wzroku znad moich włosów. – Od razu się pobrali, a kiedy zdecydował, że nadszedł czas powrotu do domu, przywiózł panią Soledad do Basondo.

Alma i ja widziałyśmy ślubne fotografie naszych dziadków, które wisiały na korytarzu na drugim piętrze. Babcia Soledad była młoda i

bardzo ładna, chociaż na żadnym ze zdjęć się nie uśmiechała. Suknia ślubna była uszyta z białej koronki i kontrastowała z jej skórą w kolorze cynamonu. Nie miała welonu, tylko wianek z czerwonych róż na rozpuszczonych, czarnych niczym skrzydła kruka włosach, które sięgały jej prawie do pasa. Miała też siedem bardzo drogich, splecionych ze sobą sznurów pereł. Wiedziałyśmy, że było ich siedem, ponieważ Alma i ja liczyłyśmy je raz za razem. „Wasza babcia była meksykańską księżniczką, która zmęczyła się życiem na tamtej wysuszonej i opuszczonej przez Boga ziemi. Dlatego przyjechała tutaj”, powtarzał nam ojciec, kiedy pytałyśmy go o korzenie babci albo o kolor jej skóry, ciemniejszy od naszego.

– Babci Soledad nie podobało się w Basondo? – zapytała Alma, bawiąc się wykonanym ze szkła i srebra flakonem perfum, który stał na toalecie. – Gdy zobaczyłyśmy ją na klifie, powiedziała, że chce wrócić do swojego domu. Czy jej dom jest w Meksyku? Czy ty byłaś kiedyś w Meksyku, Carmen? Jak tam jest? Inaczej niż w Basondo? Też przez cały czas pada deszcz, jak tutaj?

– W Meksyku nie pada deszcz, głuptasko – poprawiłam ją.

– Nie, nigdy nie byłam w Meksyku ani w żadnym innym miejscu, ale wasza babcia tęskniła za swoim krajem i domem – odpowiedziała Carmen, kończąc czesanie mnie. – Wyobraźcie sobie, że ktoś was zmusza, byście mieszkały gdzie indziej, daleko od tego domu i lasu. Też byłbyście bardzo smutne.

– Ale nikt jej nie zmusił – upierała się Alma. – Dziadek nazwał nawet jej imieniem ten dom, by pokazać wszystkim, jak bardzo ją kocha, i podarował jej naszyjnik ze szmaragdem. Dlaczego babcia miałaby chcieć odejść?

– Bo niektóre sprawy na tym świecie, nieliczne, ale ważne, nie mogą być rozwiązane za pomocą pieniędzy – odparła Carmen.

– A szmaragdów? Też nie? – chciałam się dowiedzieć.

– Też nie.

Carmen położyła na toalecie spinki, które jej zostały, i szturchnęła mnie delikatnie, żebym wstała z krzesła.

– Już jesteś gotowa. Pozwólcie, że obejrzę was obie razem.

Stałam obok siostry, by się upewnić, że Carmen uczesała nas jednakowo, i popatrzyłam na nasze odbicie w lustrze: identyczne z wyjątkiem koloru oczu.

– Obie wyglądziecie bardzo ładnie. Szkoda, że niedługo przestaniecie być dziewczynkami. Pewnego nie tak odległego dnia jednej z was będę w tym pokoju pomagać wkładać suknię ślubną – powiedziała Carmen ze smutnym uśmiechem.

Nie potrafiłam wyjaśnić dlaczego, ale słowa niani sprawiły, że poczułam niepokój.

– Mogę założyć naszyjnik ze szmaragdem? – zapytałam nagle. – Babcia Soledad na pewno chciałaby zobaczyć mnie w nim na swoim pogrzebie.

Odkąd znalazłam ten naszyjnik na poduszce, ojciec bez pozwolenia próbował mi go zabrać, by włożyć do sejf w swoim gabinecie razem z biżuterią mamy i obligacjami skarbowymi. Ponieważ wiedziałam, co knuje, schowałam naszyjnik do jednego z pudełek na kapelusze, które trzymałyśmy w szafie w naszym pokoju.

– Nie, nie możesz go założyć, dziecko. Ten klejnot nie jest stosowny na pogrzeb – odpowiedziała Carmen. – Takie rzeczy nie są dla dziewczynek. To bardzo cenny naszyjnik i biegając, mogłabyś go zgubić.

– Ale jeśli go nie założę, nikt nie będzie wiedział, że babcia zostawiła go mnie, a nie Almie – zaprotestowałam.

Stawiając długie kroki, przeszłam przez pokój do ściany z szafami wnękowymi, która znajdowała się po drugiej stronie.

– Uspokój się i nie wywracaj teraz wszystkiego, bo markiz za chwilę tu przyjdzie – ostrzegła mnie Carmen. – Jeśli rozczochrasz sobie włosy, nie będę cię czesać drugi raz. Żebyś wiedziała.

Pomimo napomnienia otwierałam wszystkie szafy, aż zobaczyłam wieżę z okrągłych pudełek w różnych kolorach.

– Z naszyjnikiem mogę robić, co chcę. Teraz jest mój i jeśli chcę go założyć, to go założę – odparowałam, otwierając pudełka i rozrzucając wieka po podłodze. – Ty jesteś tylko naszą nianią, nie możesz mi tego zabronić.

Carmen westchnęła ciężko i podeszła do mnie.

– Babcia zostawiła ci naszyjnik po to, abyś nosiła go, kiedy będziesz trochę starsza, a nie teraz.

Ja jednak otworzyłam kolejne pudełko i bezceremonialnie rzuciłam wieko pod łóżko.

– A jeśli nigdy nie będę „starsza”? – wymamrotałam, grzebiąc między kapeluszami i bibułą. – A jeśli umrę, zanim skończę piętnaście lat?

– Nie umrzesz, zanim skończysz piętnaście lat, dziecko. Skąd ty bierzesz takie dziwne pomysły, jeśli można wiedzieć? – zapytała Carmen, próbując ukryć strach w głosie.

Spojrzałam z ukosa na Almę.

– Tu jest! – wykrzyknęłam uradowana. – No już, zapnij mi go, chcę pójść w nim na pogrzeb.

– Nie. Chociaż jesteś smutna i zła z powodu śmierci babci, nie możesz mieć tego naszyjnika na jej pogrzebie. Jak ty zawsze chcesz postawić na swoim, dziecko! – zganiła mnie Carmen. – No już, zostaw naszyjnik w pudełku, żeby twój ojciec go nie znalazł, a ja pozbięram to wszystko, kiedy będziecie w kaplicy. Ależ bałaganu narobiłaś!

– Babcia opowiadała mi, że dziadek podarował jej ten naszyjnik, bo miała oczy zielone jak szmaragdy – przypominałam sobie. – Ja mam jedno w zielonym kolorze, może dlatego zostawiła go mnie, a nie Almie.

Carmen przykucnęła obok i delikatnie wyjęła mi naszyjnik z ręki.

– To nie jest wasza wina, że pani markiza się zabiła, dziewczynki. Można zmusić kogoś, żeby mieszkał w jakimś miejscu, ale nie można go zmusić, by czuł się w nim jak u siebie w domu. Ziemia jest czymś, co człowiek zawsze nosi w sercu – wyjaśniła nam Carmen. – Zrozumiecie to, jak będziecie starsze. Nie ma sposobu na to, by rządzić uczuciami człowieka, to jedyna rzecz na tym świecie, nad którą nikt nie ma władzy. Nawet pan markiz.

Jak gdyby na samo wspomnienie o nim nasz ojciec nagle się zmaterializował. José de Zuloaga stanął w drzwiach pokoju.

– Już są gotowe? – zapytał bez słowa powitania. – Ich matka skończyła się szykować i czeka na dole, by zabrać je do kaplicy.

Nie słyszałyśmy, jak wchodził po spiralnych schodach, i nie wiedziałyśmy, ile czasu stał i słuchał za drzwiami, ale nie wyglądał na zbyt zadowolonego; z drugiej strony nasz ojciec nigdy nie był zadowolony. Na jego widok Carmen wykrzywiła usta – ona też nie wiedziała, ile usłyszała z naszej rozmowy.

Markiz de Zuloaga miał włosy tak czarne jak my i nasza babcia, ale jego oczy były ciemne i małe, podobne do oczu niektórych zwierząt w lesie. Choć Alma i ja byłyśmy jeszcze dziećmi, wyczuwałyśmy już, że ojciec jest typem mężczyzny, który wzbudza strach w ludziach: nie tylko w nas, w pracownikach kopalni Zuloaga, służbie domowej czy naszej matce. Nie. Ojciec zastraszał właściwie wszystkich, ponieważ wiedział, że może to robić.

– Tak, już są gotowe – odparła Carmen, bawiąc się naszymi rękami, który wciąż trzymała w dłoni.

– Co ty z tym robisz? – oburzył się ojciec, gdy zobaczył klejnot. – Oddaj mi to w tej chwili. Nie masz pojęcia, jak się obchodzić z czymś takim.

– Pani Soledad nie urodziła się jako markiza de Zuloaga – powiedziała Carmen, podając mu naszójnik.

Spojrzał na naszą nianię, a jego oczy zaiskrzyły się pod ciemnymi brwiami. Nawet w miejscu, w którym siedziałam, poczułam bijącą od niego agresję i byłam przekonana, że ojciec ma zamiar uderzyć Carmen w twarz.

– Ojciec... – odważyłam się odezwać.

– No już, wstawajcie z podłogi, dziewczynki. Tylko zwierzęta i dzikusy siadają na podłodze – zwrócił się do nas, chowając naszójnik do kieszeni marynarki. – Idziemy, wasza matka czeka w holu.

Tego popołudnia, na pogrzeb matki, włożył czarny garnitur, mimo że na co dzień prawie zawsze nosił myśliwskie ubrania uszyte specjalnie dla niego: impregnowane peleryny, zielone lub beżowe tweedowe kamizelki, spodnie z szylkretowymi guzikami, skórzane buty, które sięgały aż do kolan, by chronić go przed jeżynami, i ele-

ganckie płaskie berety. Lubił się ubierać, jakby był angielskim lordem (albo raczej tak, jak według niego ubierali się angielscy lordowie), dlatego właśnie kazał szyc swoje ubrania w znanym zakładzie krawieckim przy Regent Street w Londynie, w którym ubierali się także hrabiowie, przedsiębiorcy, bankierzy i książęta z Europy. Jednakże kręcone ciemne włosy, niespokojne oczka pod krzaczastymi i zrośniętymi brwiami oraz szorstkie maniery nadawały mu okrutnego i prowincjonalnego wyglądu, bardzo dalekiego od wytwornej aparycji brytyjskich arystokratów, których tak bardzo podziwiał.

– Schodźcie już, ja muszę porozmawiać z Carmen.

Alma i ja wyszliśmy z sypialni, ale odwróciłyśmy się jeszcze, żeby popatrzeć na nianię, która siedziała na krześle przy toalecie i cicho płakała.



Pogrzeb babci Soledad odbył się w małej kaplicy na terenie posiadłości, która nosiła jej imię. Rodzinna kapliczka znajdowała się w zachodnim krańcu ogrodu, daleko od domu. Aby tam dotrzeć, trzeba było minąć staw z kolorowymi japońskimi rybkami, znajdujący się przy głównym wejściu, pokonać ścieżkę wyłożoną szarymi kamiennymi płytami i przejść obok sykomor z zielonożółtą korą. Na równinie, na której rosły sykomory (gdzie powietrze zawsze pachniało słodko jak dojrzałe figi), wznosiła się kaplica Willi Soledad. Tam obchodziliśmy wszystkie święta kościelne, organizowano chrzty, pogrzeby, komunie i śluby Zuloagów. Za kaplicą znajdował się mały cmentarz zawieszony nad Morzem Kantabryjskim, gdzie był pochowany dziadek Martín, a także zmarły jako dziecko brat naszego ojca.

– Wasz dziadek kazał zbudować tę kaplicę, kiedy projektował dom – wyjaśniła nam mama, gdy mijaliśmy sykomory i ich słodki zapach unoszący się w popołudniowym powietrzu. – Dziadek Martín był bardzo religijnym człowiekiem, prawdziwym chrześcijaninem. Przez te wszystkie lata spędzone w Meksyku i na Kubie zawsze miał

przy sobie księdza, który pomagał mu podejmować właściwe decyzje w interesach i w życiu prywatnym. Dlatego kazał zbudować kaplicę tutaj, przy swoim domu w Basondo.

Mama trzymała nas za ręce, podczas gdy ojciec szedł trochę z przodu. Tego popołudnia mama wyglądała bardzo ładnie z obciętymi na wysokości karku i pofalowanymi kasztanowymi włosami. Była w sukience z czarnego jedwabiu, która sięgała jej za kolana i podkreślała sylwetkę, nawet pod płaszczem z angory z kołnierzem i rękawami obszytymi miękkim gronostajowym futrem. Na głowie miała czarny toczek z siatkową woalką zasłaniającą oczy.

– A babcia? Pochowamy ją tutaj, na cmentarzu? – zapytała Alma, która ostrożnie stawiała kroki, by nie zejść ze ścieżki i nie pobrudzić sobie skórzanych butów. – Może ona nie chce tu zostać?

– Dziewczynki, już wam tłumaczyłam, że nie udało się wyciągnąć ciała waszej babci z wody. Nie ma co chować na cmentarzu, morze ją połknęło – odpowiedziała matka głośniejszym głosem niż zamierzała. – Będziemy tylko udawać, że dokonujemy pochówku, abyśmy wszyscy mogli ją opłakiwać, rozumiecie?

Wyjaśniła nam, że tak naprawdę będzie to pogrzeb, ale bez ciała i trumny. Właśnie dlatego babcia skoczyła z metalowego pomostu: by morze pochłonęło jej ciało i by nigdy nie mogli pochować jej na cmentarzu Zuloagów.

Z miejsca, w którym się znajdowałyśmy, można było dostrzec dach kaplicy na końcu ścieżki. Zauważyłam, że przed wejściem czeka grupa osób.

– Ci wszyscy ludzie znali babcię? – zapytałam.

Mama puściła nasze ręce i poprawiła sobie toczek.

– Nie, oczywiście, że nie. Wiesz dobrze, że w ostatnich latach wasza babcia prawie nie wychodziła z domu, do miasteczka wybierała się tylko po to, by kupić nalewkę z wiśni. Biedaczka nigdy nie poradziła sobie ze śmiercią waszego dziadka. Tak bardzo się kochali i tworzyli dobraną parę... – Wyglądziła płaszcz, zanim doszliśmy do drzwi kaplicy. – Ci wszyscy ludzie są tutaj z powodu waszego ojca. Wielu prowadzi z nim interesy w Madrycie albo w Anglii. Kupują

rudę żelaza z naszej kopalni, żeby budować statki, pociągi albo broń. Pojawili się tutaj, żeby złożyć mu kondolencje.

– Ale skoro wcale nie znali babci, to dlaczego tutaj są? Co ich to obchodzi? – nalegałam.

– Co to za pytania, Estrello?! Tak właśnie postępuje się w przypadku ważnych osób, nawet jeśli się ich nie zna: idzie się na ich pogrzeb – wyjaśniła mama i znowu się uśmiechnęła. – Kiedy umiera ktoś ważny albo ktoś z jego rodziny, przyzwyczajeni ludzie przychodzą na pogrzeb, aby złożyć kondolencje. To jest kurtuazja. Dlatego podczas mszy obie musicie się grzecznie zachowywać i nie rozmawiać, zgoda? Nie chcecie chyba, żeby ci ludzie, którzy przyjechali z tak daleka tylko po to, by spotkać się z waszym ojcem, wyrobili sobie o was złe zdanie, prawda?

Alma i ja jednocześnie pokręciłyśmy głowami.

– Świetnie – rzuciła mama. – Pokażcie mi się teraz razem, wyglądacie bardzo ładnie. Wiedziałam, że czarny jedwab jest najlepszy do tego kroju. Bądźcie grzeczne i nie rozmawiajcie z dorosłymi, chyba że oni odezwą się do was jako pierwsi, i pamiętajcie, żeby zawsze się uśmiechać, dziewczynki. Ja będę towarzyszyć waszemu ojcu, bo od śmierci babci jest bardzo smutny.

Mama ruszyła w stronę kaplicy, ostrożnie stawiając stopy, żeby jej buty na obcasach, obleczone czarnym materiałem, nie utknęły między kamiennymi płytami ścieżki.

– Ależ mama pięknie wygląda i zawsze jest taka elegancka. Obyśmy były do niej podobne, gdy będziemy dorosłe – powiedziałam, wciąż patrząc na naszą matkę, z którą pośród uśmiechów i komplementów witała się grupa nieznanomych.

– Ty i ja jesteśmy podobne do babci Soledad. Mamy jasną karnację, jak mama, ale to jedyne, co po niej odziedziczyłyśmy, całą resztę mamy po babci – odpowiedziała Alma, wygładzając niewidzialne zagniecenie na sukience. – Zwłaszcza ty.

W kaplicy pachniało kadzidłem i roztopionym woskiem, ale można było też wyczuć woń wilgoci i unoszącą się w powietrzu mieszaną drogich perfum. Ojciec Dávila czekał, aż ludzie usiądą w

ławkach. Drewniana nastawa ołtarzowa, której wykonanie dziadek Martín powierzył słynnemu weneckiemu ebeniście, błyszczała przyozdobiona białymi kwiatami i świecami zapalonymi w hołdzie dla naszej babci. Kaplica była pełna ludzi, ale gdy weszliśmy, nikt się z nami nie przywitał, jakbyśmy byli niewidzialne. Ojciec – w pierwszym rzędzie obok mamy – klęczał na jednym z mahoniowych, obitych czerwonym pluszem klęczników, które przywieziono z bardzo starego kościoła w południowych Włoszech. Miał splecione dłonie i modlił się z zamkniętymi oczami.

– Widziałś, jacy wszyscy są elegancy? – szepnęłam do Almy.

– Tak. Mama mówiła, że niektórzy goście przyjechali z Londynu specjalnie na pogrzeb. Tam na pewno mają znacznie lepszy styl niż w Basondo – odparła Alma.

Ubrane w czarne sukienki kobiety włożyły na nie welwetowe zakładki albo etole z szynszyli, żeby chronić się przed morską wilgocią, która wciskała się między mury kaplicy. Wszystkie miały nakrycia głowy, by móc wejść do świątyni: toczki z woalkami, jak nasza mama, albo cienkie mantyle ozdobione wykonanymi ręcznie pięknymi czarnymi koronkami.

– Nigdy jeszcze nie widziałam tak eleganckich ludzi – szepnęłam do ucha siostrze. – Nawet wtedy, jak wymknęłyśmy się z naszego pokoju, żeby podglądać przyjęcie sylwestrowe zorganizowane przez mamę, pamiętasz?

Mama uwielbia wydawać przyjęcia w Willi Soledad: sylwestrowe, karnawałowe, urodzinowe dla markiza... każda okazja była dobra, żeby wypełnić dom gośćmi, muzyką i koktajlami. Alma i ja nie mogłyśmy jednak w nich uczestniczyć i musiałyśmy zostawać w naszym pokoju razem z Carmen, podczas gdy wszyscy tańczyli, urządzali seanse spirytystyczne w salonie z pomocą fałszywego medium albo jedli rosyjski kawior na werandzie. Kilka lat temu Carmen zasnęła, czytając nam bajkę, więc wykorzystaliśmy ten moment, żeby zejść na dół, lecz mama nas zauważyła i zaprowadziła z powrotem do pokoju. Zostałyśmy ukarane, ale było warto dla samego zobaczenia strojów gości.

– Kiedy umrę, chcę, żeby wszyscy przyszli na mój pogrzeb tacy

eleganccy – powiedziałam Almie, patrząc zafascynowana na kobiety w przednich ławkach, spowite w jedwabie i cienkie koronki. – Słyszałaś, Almo? Ja też chcę, żeby mój pogrzeb przypominał przyjęcie sylwestrowe.

Siedziałyśmy w ostatniej ławce, bardzo blisko bocznego wyjścia, które prowadziło na mały cmentarz. Zanim ojciec Dávila rozpoczął nabożeństwo, zdążyłam kilka razy zerknąć ukradkiem na te drzwi, myśląc o tym, jak się stąd wydostać.

– Chcesz, żebyśmy wyszły? – zapytała Alma, nie odrywając wzroku od proboszcza. – Jeśli będziesz uważać i nie narobisz hałasu, możemy dotrzeć do bocznych drzwi i nikt nas nie zauważy.

– A nawet jak nas zauważą, to wszystko mi jedno, nie mam zamiaru tu siedzieć... pachnie woskiem i jest strasznie zimno.

Podniosłam się powoli z lodowatej ławki i ruszyłam w stronę wyjścia. Alma też wstała i podążała za mną z wdziękiem tancerki. Słyszałam, jak moja jedwabna sukienka szeleści przy każdym kroku, ale wszyscy skupiali uwagę na ojcu Dávili, więc nikt się nie zorientował, że uciekłyśmy.

– Całe szczęście, bo już zaczynało mi się kręcić w głowie od zapachu kadzidła – skłamałam i aby nadać scenie więcej dramatyzmu, potarłam skronie, jakby bolała mnie głowa. – Chcesz iść na cmentarz? Nie widziałam jeszcze grobu babci.

Babcię Soledad mieli pochować dzień wcześniej, chociaż tak naprawdę zakopano tylko pustą trumnę i położono płytę z jej nazwiskiem.

– Też nie widziałam grobu. Mama mówi, że dzieci nie powinny oglądać takich rzeczy, bo się boją i później mają koszmary.

– Ja nie boję się zmarłych – odparłam, ale w miarę jak zbliżałyśmy się do cmentarza, czułam, że w gardle tworzy mi się gęśl.

Mały cmentarz Zuloagów był częściowo ukryty za kaplicą, zawieszony nad Morzem Kantabryjskim i otoczony murkiem z nieregularnych kamieni.

– Tutaj, na zewnątrz, jest jeszcze zimniej niż w kościele – zauważyła Alma. Zaśmiała się nerwowo, jakby zamierzała zgrywać bohaterkę i przepędzić zmarłych.

Ominęłam kałużę, która utworzyła się blisko murku, i zobaczyłam w trawie jeden jedyny kwiat. Był niebieski.

– Jest taki sam jak tamten, który ostatnio wprowadziłam w ruch – zauważyłam, schylając się, by go zerwać. – Nigdy nie widziałam tutaj kwiatów. Myślałam, że na tej ziemi nic nie rośnie, bo saletra z morza zniszczyła korzenie i zatruiła grunt.

Oprócz krótkiej, nierównej trawy na cmentarzu rosło tylko jedno drzewo: rachityczna wierzba płacząca przechylona na jedną stronę, z żałośnie ciągnącymi się po ziemi gałęziami.

– Ja też nie widziałam tutaj kwiatów. Może to ten sam, który podążał za tobą z naszej polany, żebyś sprawiła, by znowu zatańczył – zasugerowała Alma, patrząc na mnie błyszczącymi bursztynowymi oczami.

– Nie sędzę.

Ponownie jednak spojrzałam na kwiat leżący na mojej dłoni i poczułam, jak krew kłębi się pod skórą, paląc od środka.

– Babcia Soledad tam stoi, przy swoim nagrobku – odezwała się nagle Alma.

Natychmiast zapomniałam o kwiecie i ogniu i spojrzałam na najświeższy grób. Na płycie leżał wieniec z czerwonych róż.

– Nie zaczynaj znowu, Almo. Nie chcę teraz słuchać twoich bajek o duchach.

– To nie bajka. Babcia znów jest młoda, bardzo młoda, i jest ubrana jak do ślubu, tak samo jak na zdjęciach na korytarzu – ciągnęła Alma, patrząc uważnie w stronę grobu. – Ma na sobie sznury pereł, wszystkie siedem, i białą koronkową sukienkę.

Akurat w tym momencie podmuch lodowatego wiatru potrząsnął gałęziami wierzby, które się poruszyły i podrapały cmentarną ziemię, jakby były pazurami dzikiego zwierzęcia.

– Nie wierzę ci – wyszeptalam, ale to nie była prawda.

– Babcia mówi, że chce, byśmy poznały prawdę o niej i o dziadku Martinie, chociaż jest to brzydka prawda, z tych, które opowiada się wtedy, gdy człowiek już nie żyje. – Alma wykrzywiła usta, próbując powstrzymać łzy. – Nie...

– Co się dzieje? Co mówi?! – zapytałam, przekrzykując szum wiatru.

– Jako mała dziewczynka była tak piękna, że wszyscy w okolicy miasteczka, w którym mieszkała w Meksyku, słyszeli o jej urodzie. Mówiono też, że jest czarownicą, znającą się na przyrodzie wiedzmą, potrafiącą przepowiedzieć, kiedy rozszaleją się burze albo kiedy w jakiejś rodzinie zdarzy się nieszczęście. Dlatego my także mamy tę moc, odziedziczyłyśmy ją po niej – wyjaśniła Alma. – Opowieści o jej urodzie i mocy dotarły do uszu pewnego Hiszpana, który przybył do Meksyku, chcąc zbić fortunę: dziadka Martina.

– Wszystko sobie wymyślasz, babcia była meksykańską księżniczką, ojciec zawsze to powtarza – upierałam się.

Jednakże Alma nadal wpatrywała się w jakiś punkt przy grobie.

– Rozbudziło to ciekawość Hiszpana – ciągnęła. – Poprosił więc ojca dziewczyny, żeby przywiózł do niego córkę, by mógł ją zobaczyć. Nie był pierwszym mężczyzną, który interesował się Soledad, ale pierwszym, który miał pieniądze. Dziadek się w niej zakochał. Pobrali się tego samego dnia, którego babcia Soledad skończyła piętnaście lat.

– Piętnaście lat? – Spojrzałam na niebieski kwiat na mojej dłoni, myśląc o tym, co Alma właśnie mi powiedziała.

Babcia Soledad też miała moc, dlatego знаła sekretny język ptaków, wiedziała, kiedy zakwitną róże w ogrodzie, i potrafiła sprawić, by drzewa rodziły lepsze jabłka. Czuła w środku ogień, tak samo jak ja.

Przypomniałam sobie babcię idącą w środku grudnia do ogrodu z koszem, żeby zbierać owoce z jabłoni amerykańskiej, którą dziadek tu sprowadził. Mimo że to nie był sezon, babcia zawsze wracała do domu z pełnym koszem czerwonych, błyszczących jabłek.

Alma pożegnała się ruchem ręki z kimś, kogo tylko ona mogła widzieć.

– Już jej nie ma – powiedziała urywanym głosem. Po jej policzkach płynęły łzy. – Babcia odeszła na zawsze, zostałyśmy same.

Położyłam niebieski kwiat na pustej płycie nagrobnej. Po chwili odleciał wraz z północnym wiatrem.

– Czy powiedziała ci, która z nas umrze wcześniej? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała Alma, po czym wzięła mnie za rękę. – Nie złość się na mnie, Estrello. Kto wie, ile czasu jeszcze spędzimy razem, zanim jedna z nas odejdzie do świata zmarłych.

Ścisnęłam jej dłoń, która była tak samo zimna jak moja.

– Spędzimy razem mnóstwo czasu, bo kiedy ja umrę, zanim skończę piętnaście lat, ty wciąż będziesz mogła mnie widzieć, tak jak widzis innych zmarłych. Będzie tak, jakbym nigdy nie odeszła – wyszeptałam.

Alma lekko się uśmiechnęła i podniosła nasze splecione ręce.

– Nigdy nie pozwolę ci odejść. Ty i ja jesteśmy połączone na zawsze niewidzialną nicią, tak mocną, że czuję ją teraz na nadgarstku – powiedziała cichym głosem. – Jeden koniec jest przywiązany do mojej ręki, a drugi do twojej, więc nigdy się nie rozdzielimy, nieważne, która z nas umrze pierwsza. Połączone na zawsze. Nierozłączne.

Jeszcze przez chwilę patrzyłam na nasze splecione dłonie i niemal czułam niewidzialny sznurek, o którym mówiła Alma, przywiązany do mojego nadgarstka.

– Przysięgasz? – zapytałam drżącym głosem. – Pamiętaj, że jesteśmy na cmentarzu i składamy obietnicę.

– Przysięgam. I niech umrę, jeśli kłamię.